

RAFAŁ WITEK

CHŁOPIEC z LAMPEDUSY



Rafał Witek
Chłopiec z Lampedusy

© by Rafał Witek
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje: Joanna Rusinek
Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-479-9

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl



– Co to? – mama Andželiki wskazała na utyłany błotem plastikowy kubeczek stojący na parapecie w pokoju dziewczynki.

– Opakowanie po jogurcie. Hoduję w nim...
Mama skrzyżowała ręce na piersiach.

– Moja panno! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie przynosiła do domu śmieci? Wiesz, co signora Ragusa o tym sądzi.

Signora Ragusa była Włoszką, właścicielką tych dwóch niewielkich pokoi z kuchnią, w których Andželika i jej mama mieszkały. Pokoje znajdowały się na parterze domu, którego piętro zajmowała signora.

„Signora Ragusa nabije ci guza!” – mawiała mama Andželiki, gdy chciała postraszyć dziewczynkę zrzędliwą właścicielką.

Andželika wyskoczyła z łóżka, jednym susem znalazła się przy parapecie i zasłoniła swój skarb.

– Proszę! Nie wyrzucaj tego kubeczka! Ja naprawdę...
hoduję w nim...

– Brud! – przerwała jej mama. – Hodujesz w nim brud.

Odsunęła dziewczynkę i z odrazą uniosła kubek, chwytając go dwoma palcami, tak jak się chwyta paproch czy nadgniłą skórkę owocu znaną pod stołem.

– „Jogurt z kawałkami moreli” – odczytała napis wizerający spod smug błota na bocznej ścianie opakowania. – My takiego nie kupujemy – stwierdziła. – A więc to naprawdę śmieć! W dodatku w środku jest pełno ziemi!

– No bo... – Andżelika nie zdążyła dokończyć zdania, kiedy mama energicznym krokiem wyszła do kuchni, nacisnęła stopą pedał unoszący klapę kosza na śmieci i cisnęła doń kubek razem z zawartością.

– Tyle razy cię prosiłam! – powiedziała z wyrzutem do drepczącej za nią Andżeliki. – Signora Ragusa dużo nam ostatnio pomogła. Naprawdę powinniśmy okazać jej trochę wdzięczności. Wiesz, jak ona nie cierpi brudu. Pamiętasz, co powiedziała, jak się wprowadzałyśmy, a ty nie chciałaś wyrzucić swojej kolekcji mewich piór? Że jeśli mamy zamiar przywlekać do jej domu zarazki, to możemy od razu szukać innego lokum!

Andżelika spuściła głowę.

Mama miała rację. Znalezienie taniego mieszkania do wynajęcia w centrum miasteczka było bardzo trudne, a signora Ragusa zaoferowała im dobrą cenę. W zamian miały tylko być cicho i trzy razy w tygodniu



przynosić jej zakupy. Nogi staruszki nie radziły już sobie z wędrowaniem po wyboistych ulicach miasteczka. Natomiast jej gardło świetnie radziło sobie ze zrzędzeniem i donośnym lamentowaniem nad kolejnymi „brudami” i „dewastacjami”.

„Kto zostawił ślady butów na posadzce? – złościła się. – Kto oparł brudną miotłę o czystą ścianę? Kto wrzucił plastikową butelkę do pojemnika na papier?”...

– Gdyby moje nogi były takie dobre jak moje gardło, pokazałabym wam, jak się dba o porządek – powiedziała kiedyś w złości do mamy Andżeliki.

– Gdyby pani się mniej złościła, to byłoby z korzyścią dla pani zdrowia – odparowała jej mama.

Teraz już takie sprzeczki im się nie zdarzały – właścicielka przyzwyczaiła się do lokatorów, a lokatorzy do właścicielki – ale na humory signory Ragusy zawsze trzeba było uważać.

Andżelika podreptała do łóżka i zgasiła światło.

– Ja jeszcze chwilę posiedzę – powiedziała mama i ucałowała ją w czoło. – Muszę pogadać z ciocią Basią.

Dziewczynka słyszała, jak mama sadowi się na trzeszczącym krześle w „dużym” pokoju, uruchamia laptop i ściszym głosem rozmawia z ciocią. Jak zawsze o tym samym – o rachunkach do zapłacenia w Polsce, o tanich lotach, o tym, co u kogo ze znajomych słyhać lub nie słyhać.

Ciocia Basia była siostrą mamy. Też średnio jej się powodziło, ale przynajmniej miała stałą pracę. Dlatego nie musiała wyjeżdżać z rodzinnego miasta. Początkowo planowano, że Andżelika zostanie w kraju i zamieszka właśnie u niej. Jednak po wielu protestach i awanturach, które dziewczynka urządziła, mama uległa i zgodziła się zabrać ją ze sobą.

– Nie wiem, jak ty sobie poradzisz w obcej szkole, z obcym językiem... – westchnęła tamtego wieczoru, kiedy decyzja o wspólnym wyjeździe została ostatecznie podjęta. – Ja będę pracowała całymi dniami w hotelu, a ty co... sama przed telewizorem? Gdybyś chociaż miała rodzeństwo...

– Z rodzeństwem są tylko kłopoty – mruknęła Andżelika, której w gruncie rzeczy podobało się bycie jedy-naczką. – Dam radę, mam dziesięć lat. I to skończone, a nie zaczęte! – dodała.

Odkąd tata Andżeliki – kierowca dużych ciężarówek – zaczął jeździć w zagraniczne trasy, dziewczynka prawie go nie widywała. Wpadał do domu na dzień lub dwa, po czym zniknął na całe tygodnie. Andżelika nie wyobrażała sobie, że mogłaby przestać widywać także mamę. Dlatego tak się uparła na ten wyjazd do Włoch.

Rozmowa mamy z ciocią Basią przeciągała się. Andżelika leżała na wznak, przykryta lekką kołdrą, i wpatrywała się w sekundy zmieniające się na bursztynowym wyświetlaczu budzika.

Bursztynowe sekundy... – pomyślała i uśmiechnęła się w ciemności.

Ten budzik przywiozła ze sobą z Polski. Był magiczny: przypominał jej stary pokój, stolik nocny i tapczan, na którym sypiała. Wystarczyło na niego spojrzeć, aby przenieść się myślami do mieszkania, w którym Andżelika spędziła całe dotychczasowe życie.

Jednostajne, rytmiczne, przewidywalne zmienianie się sekund na wyświetlaczu uspokajało ją. Podobnie jak cichy szum wiatru i fal za oknem.

Nie wolno mi zasnąć! – postanowiła.

Miała zamiar zaczekać, aż mama się położy, i uratować z kosza na śmieci wyrzucony kubek po jogurcie. W środku – pod warstwą suchej, piaskowej ziemi nawilżonej wodą – znajdowało się nasionko, które Andżelika miała zamiar hodować.

To nasionko było dla niej bardzo ważne. A o ważne rzeczy warto walczyć, choćby się miało nie przespać połowy nocy. Albo narazić się na nieprzyjemności ze strony signory Ragusy.

Andżelika była więc zdecydowana.

Jeśli dziś w nocy nie wyjmę nasionka z kosza, to rano mama opróżni kosz do kontenera i wszystko przepadnie! – myślała, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w ciemny trójkąt nieba za oknem. – A na to absolutnie nie mogę pozwolić!



Wszystko zaczęło się cztery tygodnie wcześniej, w marcu.

Andżelika zbudziła się o świcie. Przez okno do pokoju wpadało szare światło. Było niezwykle cicho. Wreszcie przestał wiać wiatr od morza, tak męczący w ostatnich dniach.

Dziewczynka wstała, włożyła szorty i na paluszkach wyszła na zewnątrz. Bo oprócz dwóch pokoi z kuchnią i mikroskopijną łazienką, Andżelika i jej mama mogły korzystać także z niewielkiego, wypalonego słońcem ogródka na tyłach domu. I z płaskiego dachu. Były tam rozciągnięte sznury do suszenia prania, zaś w rogu poniewierały się graty signory Ragusy – chybotliwe krzesła z poszarpaną tapicerką, kulawy stolik, jakaś sfatygowana walizka i kosz z wyszczerbioną porcelanową zastawą.

Chyba z tej zastawy jadały trolle. Albo szczury – myślała Andżelika. – Kto inny dałby radę ponadgryzać taką twardą porcelanę?

Na dach wchodziło się krętymi, kamiennymi schodkami przyklejonymi do ściany domu. Andżelika często się tam wdrapywała, nawet wtedy, kiedy nie było akurat

żadnego prania do powieszenia. Stając na jednym z tych chybotliwych starych krzeseł, miała widok na miasteczko i na morze.

Tamtego ranka Andżelika też postanowiła wejść na dach.

Gdy już się na nim znalazła, przyłożyła do oczu szkła lornetki, którą tata przysłał jej w paczce na urodziny. Z ciekawością rozejrzała się po okolicy.

Miasteczko było brzydkie, szczególnie teraz, wczesną wiosną. Odrapane, niskie domy wyglądały, jakby nikt nigdy ich nie malował. Trudno nawet było stwierdzić, czy są nowe, czy stare. Wyglądały po prostu nijako, a pozatrzaskiwane okiennice czyniły je obcymi i nieprzyjawnymi. Symetrycznie poprowadzone uliczki miasteczka krzyżowały się pod kątem prostym i zbiegały w dół, ku przystani. Jednostajny krajobraz ożywiały wyłącznie pióropusze palm rosnących przy nabrzeżu. Koło siedziby rady miasta sterczał maszt z flagami Włoch i Unii Europejskiej.

Andżelika wypatrzyła żółtą fasadę szkoły, okiennice sklepiu z artykułami przemysłowymi i kafeterię. Nieliczni robotnicy wstępowali tam na malusieńką filiżankę kawy przed udaniem się do swoich warsztatów.

Potem skierowała soczewki lornetki na znajdujący się tuż obok dom państwa Pallaferich. Byli to sąsiedzi signory Ragusy, równie mrukliwi i nieprzystępni jak ona. Tak się przynajmniej wydawało na pierwszy rzut

oka. Gdy szli ulicą, mieli wyniosłe miny i surowe spojrzenia. Jednak kiedyś Andżelika odkryła, że również i panu Antoniowi Pallaferiemu zdarza się uśmiechnąć. Mijała go w drodze do szkoły i zobaczyła, jak z niesionej przez niego sterty teczek wypada kartka. Dziewczynka podniosła ją, dogoniła mężczyznę i wręczyła mu zgubę. Wtedy pan Pallaferi mrugnął do niej i się uśmiechnął. Andżelika tak się zdziwiła, że zupełnie nie wiedziała, jak się zachować. Szczególnie że mężczyzna miał na policzku włochatą brodawkę, która w trakcie uśmiechu poruszała się zabawnie do góry! Zmieszana dziewczynka dygnęła i bez słowa popędziła do szkoły. Od tego czasu pan Antonio posyłał jej uśmiech za każdym razem, gdy była ku temu okazja. Andżelika odpowiadała mu tym samym. Była to więc niema, uśmiechowa przyjaźń na odległość. Dzięki niej dziewczynka nie czuła się w sąsiedztwie tak bardzo wyobcowana.

Lubiła pana Antonia również dlatego, że miał wielki, zwisający brzuch przypominający jej tatę. Nie potrafiła zdecydować, czyj brzuch był większy – taty czy pana Antonia. Tak czy owak, uważała, że wielkie brzuchy są bardzo przydatne, szczególnie dla dzieci. Kiedy wieczorem tata leżał na tapczanie i oglądał telewizję, Andżelika kładła się obok i opierała głowę na tym jego brzuszysku jak na miękkiej podusi. Równomierne, regularne unoszenie się i opadanie brzucha w rytm oddechu skutecznie ją usypiało.

Tak było w Polsce, w czasach, kiedy cała rodzina mieszkała razem, a tata nie jeździł w dalekie trasy. Gnieździł się w domu rodziców taty, w mieszkaniu-przybudówce przerobionym z garażu. Było tam mało miejsca, a zimą dużo pieniędzy szło na ogrzewanie. Obydwoje rodzice marzyli o własnym, przestronnym domu. To dlatego tata zaczął jeździć w zagraniczne trasy, a mama wyszukała tę pracę w hotelu we Włoszech. A właściwie to nie tyle wyszukała, ile... odziedziczyła. Któregoś wieczoru odebrała telefon od swojej dawnej koleżanki z liceum, która musiała wracać do kraju i szukała dla siebie zastępstwa. Mama się zgodziła. Chciała razem z tatą zarabiać na ich wymarzony dom.

Włoska wyspa, na której znajdowało się nowe miejsce pracy mamy, nosiła dziwną nazwę Lampedusa. Andżelice ta nazwa kojarzyła się z lampą i meduzą. Co mogłoby wyjść ze skrzyżowania lampy i meduzy? Tego dziewczynka nie wiedziała.

Lampedusa była malutka. Dało się ją ogarnąć jednym spojrzeniem, no, może dwoma – szczególnie kiedy się stało na dachu i miało dobrą lornetkę. Dużo ciekawsze od wyspy było morze. Otaczało wyspę ze wszystkich stron, poruszało się i przybierało różne kolory zależnie od pory roku i dnia. Gdyby zechciało, to mogłoby pewnie połknąć tę malutką wysepkę jednym kłapinięciem swej błękitnej, najeżonej falami paszczy. Ale kto by chciał połkać takie małe, skaliste coś zabudowane kanciastymi, brzydkimi budynkami? Ta myśl pocieszała Andżelikę.

